Opłata ryczałtem

Cena 40 groszy

RACJONALISTA

MIESIĘCZNIK

ORGAN WARSZAWSKIEGO KOŁA INTELEKTUALISTÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

ROK III WARSZAWA—CZERWIEC—1932 Nr. 6

TREŚĆ: *JÓZEF LANDAU:* Cuda i cudactwa. *THEODOR HARTWIG:* Bóg matematyczny. *HALINA POWIADOWSKA:* Bandaże konwencjonalizmu. *KSIĄŻKI NADESŁANE.*

Myśl Wolna nie jest doktryną, jest metodą swobodnego myślenia.
F. Buisson: Deklaracja Myśli Wolnej.

JÓZEF LANDAU.

Cuda i cudactwa.

Według określenia scholastycznego cud — jest to zjawisko, przeciwne naturalnemu biegowi rzeczy, a więc dowodzące interwencji nadnaturalnej istoty boskiej. W tem rozumieniu cud winien być wyłącznym atrybutem boga, który jedynie mocen jest zawiesić działanie sił naturalnych, jako ten, który je stworzył. Odnosi się to, rzecz prosta, do t. zw. cudów absolutnych, w przeciwieństwie do cudów względnych, wynikających z niedostatecznie przez nas jeszcze poznanych praw natury. Te ostatnie cuda mogą się okazać z czasem zjawiskami naturalnemi, gdy poznamy przyczyny ich powstawania, cuda natomiast absolutne nie dadzą się nigdy wytłumaczyć bez udziału boga. Tak pojęte, świadomie lub podświadomie, cuda stanowią podstawę każdej religji; religja, któraby chciała odrzucić zasadę cudowności, stałaby się systemem filozoficzno-etycznym, może nawet niezmiernie wzniosłym, ale przestałaby być religją.

W zaraniu dziejów każdej religji znajdujemy cuda, dość częste — gdy giną w pomroce przeszłości, coraz rzadsze — gdy religja się rozwija, a społeczeństwo dojrzewa. Z biegiem

czasu wszakże zauważyć można proces odwrotny: gdy religja chyli się ku upadkowi, cuda poczynają się mnożyć z zawrotną szybkością.

W starym testamencie mamy stosunkowo niewiele opisów cudów; pominąć należy historję stworzenia świata — nie był to cud, gdyż bóg dopiero tworzył prawa natury, a więc nie miał potrzeby ich łamać. Potop, stworzenie tęczy, czy zniszczenie Sodomy i Gomory nie noszą znamion cudu i dadzą się racjonalistycznie wytłumaczyć nadaniem formy legendy zjawiskom przyrody. Cuda zaczynają się właściwie dopiero w okresie tworzenia religji przez Mojżesza, a więc: plagi egipskie, przejście przez morze Czerwone, zesłanie manny, spalenie synów Aarona, wulkaniczna kaźń Korecha, historja oślicy Balaama i t. p. Już Jozue, poza czynami wojennemi, czyni mało cudów; powtarza tylko mojżeszowy cud przejścia przez Jordan suchą nogą i wstrzymuje w biegu słońce. Cały okres sędziów i królów nie przynosi już nic nowego pod tym względem. Utrwalenie się religji Jehowy uczyniło zbytecznem tworzenie cudów. Dopiero w epoce upadku państwa żydowskiego i zburzenia Jerozolimy rozpoczynają się nowe cuda: ocalenie trzech wierzących żydów, wrzuconych z rozkazu Nebuchadnezera do ognia, ogniste pismo na ścianach pałacu Babilońskiego, wybawienie Daniela z paszczy lwa i Jonasza z brzucha wieloryba. A potem niezmiernie długi okres rozproszenia żydów po świecie, gdy największym, a rzeczywistym, cudem było samo istnienie tego dziwnego narodu — i skostnienie religji mojżeszowej do stanu absolutnego unieruchomienia.

I znów moment dziejowy: z cywilizacji europejskiej dostaje się do ghetta żydowskiego świeży powiew; religji Mojżesza grozi odświeżenie, może nawet oczyszczenie, a w konsekwencji — upadek. Natychmiast zjawia się sekciarstwo chasydzkie z takim aparatem cudów, jaki nie był znany żydom jerozolimskim: cadycy, cudotwórcy chasydzcy, wymienili cuda boskie na drobne; dawniej Jehowa sam tylko przejawiał swą siłę bezpośrednio, lub przez jednego wybranego proroka, który wstrzymywał bieg wód lub ciał niebieskich; dziś cadycy nie czynią coprawda wielkich cudów, ale czynią ich dużo, a przedewszystkiem — z własnej woli i wtedy, gdy im się tak podoba. Leczą chorych modlitwą, przepowiadają przyszłość, otwierają łona bezpłodnych niewiast, sprzedają amulety o najróżnorodniejszych własnościach, słowem — czynią cuda stale i ciągle, nie czekając na rozkaz Jehowy ani na specjalne natchnienie. To już nie są groźne cuda w stylu biblijnym, to są drobne cudactwa, oparte na ślepej wierze w czarodziejską potęgę cadyków, autohypnoza słabych umysłów, czepiających się rozpaczliwie przesądu, gdy źródła czystej wiary wyschły. Jestto

stałe prawo rozwoju religji: gdy wiarę zastępuje przesąd, zamiast cudów zjawiają się cudactwa.

Cuda ewangelji też nie są zbyt liczne. I tu znów pominąć należy nadnaturalne narodziny Jezusa, jako fakt o wiele później stwierdzony i nie powołujący się na świadków naocznych. Jak i za czasów Mojżesza otwiera się serja cudów dopiero z chwilą, gdy Jezus poczyna głosić nową prawdę; początkowo są tu tylko dość niejasne wzmianki o uzdrowieniu chorych w Galilei, przeważnie paralityków i trędowatych. Później mamy uśmierzenie burzy, wypędzanie czartów, wskrzeszenie Łazarza, syna wdowy z Naim i córki Jaira, która zresztą, według słów Jezusa, nie umarła, a tylko spała, uzdrawianie ślepych i niemych, rozmnażanie chleba, przechadzka po morzu; ostatnim cudem ewangelicznym było zmartwychwstanie Jezusa.

Religja Chrystusowa poczęła się tworzyć dopiero po śmierci swego założyciela. I tu więc musiały dziać się cuda — na poparcie nowej prawdy. Apostołowie uzdrawiają również chorych, sprowadzają nagłą śmierć na przestępców, nawet wskrzeszają zmarłych (Tabita w Joppie, Eutychus). Paręset następnych lat nie przynosi pod tym względem nic nowego. Religja chrześcijańska, po okresie prześladowań, utrwala się na dobre, zyskuje władzę, równą władzy kapłanów egipskich i lamów tybetańskich, i prędko zatraca pierwotną czystość i głęboki idealizm społeczny starych gmin chrześcijańskich. I oto znów nadchodzi moment, gdy chwiejące się podwaliny religji trzeba podeprzeć przesądem. Od czasów Konstantyna Wielkiego liczyć trzeba erę paczenia się czystej religji Chrystusa: miast wiary, powołującej tysiące męczenników, zjawia się przesąd, potrzebny władzy do pociągnięcia wielkich mas ludowych. I oto ukazują się cudactwa miast cudów: relikwje, amulety od wszelkich nieszczęść, praktyki modlitewno-czarodziejskie: miejsce apostoła zajmuje anachoreta, słupnik, asceta, szczycący się tem, że go wszy zjadają, nieprzytomny mistyk, kastrujący się w imię boże. A wszyscy ci apostołowie przesądu tworzą drobne, śmieszne cuda — zupełnie jak cadycy chasydzcy.

Potęga polityczna, jaką zdobył kościół chrześcijański w wiekach średnich, uczyniła zbytecznem powstawanie nowych źródeł cudów. Staje się to dopiero wtedy, gdy sami chrześcijanie, zrozpaczeni zepsuciem kościoła rzymskiego, buntują się przeciw papiestwu i protestują przeciwko cudactwom religijno-amuletowym.

Wieki XVIII i XIX, okres oświecenia i sceptycyzmu, obfitują w objawy cudowne; broniąc się przed naporem myśli racjonalistycznej, kościół wznosi nowe mury przesądu. Kult cu-

downych obrazów, dość umiarkowany w średniowieczu, staje się hasłem dnia; zjawiają się cudowne źródła, których woda przywraca ślepym wzrok, głuchym słuch, paralitykom siły i zdrowie. Papież staje się nieomylnym, Matka boska coraz częściej zjawia się ludziom i interwenjuje bezpośrednio w wypadkach dziejowych, odżywają na nowo stygmatycy, posągi i obrazy płaczą, krew Chrystusa w określone zgóry dni burzy się i wre... słowem — aparatura cudów rozbudowuje się z niesłychaną intensywnością. I nietylko w kościele watykańskim. Nasi rodzimi marjawici zdobywają się w okresie swego ostatecznego upadku na niemniejszy cud: mistyczne małżeństwa, których niemistyczne owoce nie noszą na sobie znamion grzechu pierworodnego.

Powtarzamy: stałe prawo rozwoju religji brzmi —

Gdy wiarę zastępuje przesąd, zamiast cudów zjawiają się cudactwa.

Prof. Theodor Hartwig (Praga Czeska), sekretarz Egzekutywy Unji Międzynarodowej Wolnomyślicieli, nadesłał nam poniższy artykuł, który podajemy w przekładzie polskim z pewnemi skrótami ze względów technicznych.

REDAKCJA.

THEODOR HARTWIG.

Bóg matematyczny.

„Poznajemy, że wszechświat nosi ślady planującej lub kontrolującej siły, która ma coś wspólnego z naszą własną indywidualną duszą — nie, jak sądziliśmy dotychczas, uczucie, moralność lub poczucie estetyki, lecz tendencję do rozumowania w sposób, który — w braku lepszego wyrażenia — nazwaliśmy matematycznym.

James Jeans: „Tajemniczy Wszechświat".

Tak więc wszystko w porządku. To, co nas łączy z bogiem, to nie jakieś objawienie, nie t. zw. głos sumienia, lecz poprostu równanie różniczkowe. Bóg jest wielkim matematykiem, a Einstein jest jego prorokiem. Działa to jednak poniekąd kojąco, gdyż dotychczas nienajlepiej wychodziliśmy na „niezbadanych wyrokach" boskich.

Teraz jednak dowiadujemy się od sir Jeans'a, profesora uniwersytetu w Cambridge, że i w „planującym lub kontrolu-

jącym" duchu świata, przynajmniej „o ile go dotychczas poznaliśmy", niema ani „uczucia" ani „moralności", co my, wolnomyśliciele, dawno już stwierdziliśmy na podstawie rozbioru biblji.

Pojęcie matematycznego boga nie jest zresztą naogół niesympatyczne; przedewszystkiem dlatego, że wyklucza ono wszelkie religijne wnioski, wysnuwane przy pomocy łamańców mózgowych; cała teologja spekulatywna traci rację bytu. Bóg, który ma „wspólną" matematykę z „naszym własnym indywidualnym duchem", musi przecież stać się bardziej konsekwentnym w swem działaniu. Lecz żart na stronę. Co ma znaczyć ten najnowszy warjant boskiej komedji?

Gdy Jeans stawia jako zasadę, że człowiek sam ustala prawa świata w zależności od swego własnego ustroju myślowego, jak jeszcze Kant przypuszczał, jest to już w każdym razie postęp w stosunku do poprzedniego idealistycznego poglądu. Podług Jeansa wszakże prawa już istniały, tak jak i cały wszechświat istniał, zanim jeszcze człowiek się zjawił, i zadaniem naszem jest jedynie uzasadnienie matematyczne tych praw.

Ale krokiem wstecznym znów będzie, gdy Jeans, niejako w charakterze „przedstawiciela duszy świata" (Hegel), usiłuje w ten sposób rozpatrywać prawa przyrody, jakgdyby zostały one ustanowione przez jakiegoś antropomorficznego matematycznego ducha. W ten sposób bóg, który już został zdegradowany przez filozoficzny idealizm do roli zwykłego „honorowego prezydenta wszechświata", rehabilituje się i powraca do stanowiska i powagi.

Jeans jeszcze nie zaszedł tak daleko, by oświadczyć, że umysł nasz nie tylko rozwijał się na drodze przystosowywania się do potrzeb praktycznych, lecz że jest uzależniony również i od życia gospodarczego. Z tego powodu nie istnieje też dla niego samoanaliza myśli. Tembardziej koniecznem jest zbadanie, dlaczego Jeans sądzi, że znalazł we wszechświecie matematycznego boga. Nie należy sądzić, że Jeans, który dał się poznać światu przez swoją doskonałą książkę „Gwiazdy, światy i atomy", nie idzie z postępem wiedzy, przeciwnie: obejmuje on i uznaje cały materjał faktyczny, który doprowadził do stworzenia najnowszej teorji atomistycznej, teorji względności i teorji kwantów.

Szczególnie rozumie on dobrze, że nowoczesna fizyka pozbawiła prawa natury ich charakteru dogmatycznego i mówi o prawach, opierających się na prawdopodobieństwie, t. j. na t. zw. „teorji wielkich liczb". Wiadomo mu również, że „nasz język przystosowany jest tylko do ziemskich pojęć i doświadczeń", i że wskutek tego trudno jest wyrazić w potocznym języku wywody czystej matematyki. Pogląd ten znajdujemy już u Kanta: „Sądzę wszakże, że w każdej po-

szczególniej nauce przyrodniczej tyle tylko można znaleść prawdziwej wiedzy, ile się w niej znajdzie matematyki". („Początkowe podstawy metafizyczne nauk przyrodniczych").

Nie należy również myśleć, że Jeans odrzuca realność świata zewnętrznego. Nie chce on mówić nic o istocie rzeczy, a tylko o ich zachowywaniu się, i dodaje wyjaśniająco:

„Wybrane przez nas okreslenie (mianowicie: „zachowywanie się rzeczy", H.) nie odsyła naturalnie materji do kategorji złudzeń zmysłowych lub snów. Wszechświat materjalny zostaje tak rzeczywistym jak nim był zawsze, i to twierdzenie, jak sądzę, musi zostać prawdziwem poprzez wszystkie zmiany naukowego i filozoficznego myślenia" (str. 195).

Pomimo to obstaje on przy swojem sformułowaniu: „Prawa natury możemy sobie wyobrazić jako prawa myślenia powszechnego ducha. Prawidłowość natury dowodzi wewnętrznej konsekwencji tego ducha" (str. 198).

Staje się to jeszcze wyraźniejsze, kiedy Jeans powołuje się na „wzrost entropji", t. j. na dawny „zanik ciepła we wszechświecie", i wyciąga stąd wniosek, że zjawisko to musiało kiedyś mieć początek: „ W ograniczenie odległym czasie musiało mieć miejsce coś w rodzaju stworzenia" (str. 204).

Naturalnie, stworzenia tego nie wyobraża sobie Jeans w sposób biblijny, lecz jako „akt myślenia", przyczem czas i przestrzeń również stanowić miały części tego aktu: „Nowoczesna teorja naukowa zmusza nas do wyobrażenia sobie działalności stwórcy poza przestrzenią i czasem, które przecież są tylko częścią jego twórczości, tak jak artysta znajduje się nazewnątrz swego płótna" (str. 204).

Z przytoczonych powyżej cytat widać jasno, że polemika właściwie jest zbędna. Cokolwiek byśmy mogli zaoponować, jest już naturalnie Jeansowi znane. Gdybyśmy np. w związku z ostatniem niezbyt szczęśliwem porównaniem z płótnem powiedzieli, że to płótno istnieje przecież niezależnie od artysty, a więc i przestrzeń i czas nie mogą być rozpatrywane jako „część stworzenia", o ileby analogja miała być prawdziwa, to Jeans odpowiedziałby, że porównanie nigdy nie może być brane dosłownie. Jego bóg matematyczny powinien być rozumiany też tylko matematycznie, i tak jak nie możemy sobie uzmysłowić równań Maxwella lub krzywej przestrzeni Einsteina, tak nie zdołamy ująć matematycznego boga przy pomocy porównania.

„Budowanie modeli lub wykresów dla wyjaśnienia matematycznych formuł i fenomenów, które je opisują , nie jest krokiem naprzód w kierunku rzeczywistości, lecz krokiem wstecz; jestto jakgdyby się tworzyło rzeźbione figury ducha" (str. 199).

„Nawrót do boga", tak gorąco też zalecany przez Wer-

nera Sombarta przed kilku laty, należy bezwątpienia tłumaczyć społecznie i psychologicznie, lecz nie powinniśmy sobie upraszczać tej rzeczy przez mianowanie Jeansa typowym przedstawicielem burżuazji, który „zdradził“ swe naukowe poglądy jako „patentowany lokaj kleru“ w tym celu, aby oddać swego matematycznego boga na usługi systemu kapitalistycznego, dla wykorzystania wiary mas ludowych w autorytet.

Tak świadomego przebiegu nie mają podobne zjawiska. Zresztą — bardzo jest wątpliwe, czy kościół mógłby użyć dla swoich celów matematycznego boga, który budzi nieprzyjemne przypomnienie deizmu i panteizmu. Dla ludu, o ile jeszcze wogóle wierzy, potrzebny jest gruby przesąd, w rodzaju cudu z Kornersreuth. Co tam począć z jakimś matematycznym duchem, do którego można się zbliżyć tylko w wielowymiarowej przestrzeni?

Bóg matematyczny jest dla ludu czemś w rodzaju szampana. Nie należy wszakże rozpatrywać go jako prywatną własność sir Jeansa, gdyż koncepcja jego jest symptomatyczną dla reakcyjnego nastawienia mniej lub więcej uprawnionych przedstawicieli burżuazyjnej wiedzy, a więc w żadnym razie nie jest „rzeczą prywatną“. Dla wyjaśnienia mechanizmu duchowego, prowadzącego do reaktywowania boga, wystarczy może wskazać na pewien ustęp w niedawno wydanej książce Jamesa George‘a Frazera p. n. „Człowiek, Bóg i Nieśmiertelność“. W jednym z rozdziałów powiedziano tam, że przesąd miał też swoje dobre strony, ponieważ wzmocnił „szacunek dla władzy“. Jako podpora dla utrzymania porządku społecznego, przyczynił się przesąd do zabezpieczenia własności prywatnej.

Psychologja nowoczesna dowodzi, że pojedynczy człowiek zachowuje się dziecinnie z chwilą gdy znajdzie się w okolicznościach życiowych, do których nie dorósł jeszcze; cofa się wtedy duchowo na poprzedni szczebel, t. zn. chroni się z powrotem do tego okresu, w którym cieszył się jeszcze opieką rodziców, i kiedy broniony był przed pewnemi wewnętrznemi starciami. Coś podobnego możemy zauważyć wśród szerokich mas ludzkich w okresach niepewności gospodarczej i politycznej.

Czemuś podobnemu mógł i Jeans podlec. Naturalnie chodzi tu tylko o nieświadome przeżycia duchowe, a gdy chcemy pojąć infantylne formy myślenia, nie powinniśmy trzymać się ściśle powierzchni faktów społecznych. Jak się więc tłumaczy dziwny zbieg powszechnego kryzysu światowego z „kryzysem nauki“? (Z pominięciem wszelkich innych kryzysów, jak „kryzys w muzyce“ albo „kryzys w religji“ i t. p.) Skąd nagle te skargi na bezsilność wiedzy, które u niektórych przedstawicieli nauki dochodzą aż do dobrowolnego zrzeka-

nia się dotychczasowych zdobyczy naukowych? Skąd ta newroza, wpadająca w myślowy infantylizm?

Pozwólmy sobie na banalne porównanie. Ktoś znosi przeróżne niepowodzenia w życiu: w pracy zawodowej, w rodzinie, w miłości. Żartując, mógłby powiedzieć: ale pozatem jestem zdrów. To wcale nie jest takie głupie, a wyraża głębszy pogląd, że można względnie lekko przenieść rozmaite ciosy losu, dopóki się posiada drogocenny dar zdrowia. Gdy jednak wrażliwe usposobienia poddają się przygnębieniu, nie mogą wtedy być uważane za „zdrowe". Również nie będzie dostatecznie uzasadniony zarzut, że większość ludzi zaczyna cenić swe zdrowie dopiero wtedy, gdy zaczyna się ono psuć, gdyż odnosi się on tylko do naszej świadomości. Defekt zaś fizyczny wykazuje swoje działanie przedewszystkiem w naszej podświadomości.

Podobnie dzieje się z naszem „zdrowiem" gospodarczem, od którego stanu zależy pewność naszego postępowania, stałość naszej równowagi duchowej. Uświadamiamy sobie znaczenie naszej stałości gospodarczej przeważnie dopiero wtedy, gdy zaczyna ona zanikać. Niepewność egzystencji — oto cecha proletarjatu. Drobny urzędnik może być źle wynagradzany, lecz mimoto zajmuje wyższy społecznie szczebel. Dochody jego są ustalone i względnie ubezpieczone, i z tego powodu stanowi on pożądany objekt matrymonialny. Jego stan psychiczny najlepiej może zostać scharakteryzowany w znanym dowcipie Nestray'a: „urzędnik nie ma nic, to jednak ma on pewne". (Der Beamte hat nix, aber das hat er fix).

Ten idylliczny stan należy już dziś do przeszłości dla większości kategoryj urzędniczych. Coś się już nie zgadza w porządku świata. Wypłoszony ze swego spokojnego schronu drobnomieszczanin wzywa do silnej ręki, którąby napowrót wstawiła zbity z toru świat. Niegdyś tak pewny siebie świat urzędniczy — nie należy tego pojęcia brać zbyt wąsko — który chętnie ciągnął na wojnę z nadzieją na przyszłe „świetne czasy", zaczyna się przeciwstawiać rozwojowi i wzbrania się, ze się tak wyrażę, płacić duchowe odszkodowanie.

Zaczyna się powszechna ucieczka do infantylizmu. Niektórym wystarcza cofnięcie się do monarchizmu. Wielu jednak, w swem dążeniu do nawrotu, ucieka aż do stanowego ustroju średniowiecza (Othmar Spann). Fantazje pragnień ujawniają się: „Z powrotem do życia na roli! Osiedlanie i obowiązek pracy!"

Ponieważ jednak ci reformatorzy życia nie mogą zaprzeć się 20-go stulecia, więc chcieliby zabrać ze sobą w ciszę wiejskiego życia przynajmniej aparat radjowy, aby nie utracić całkowicie kontaktu z zawodami lekkoatletycznemi i ringiem bokserskim. Z powrotem do natury! Ale z odpowiedniem zastrzeżeniem.

Takiem zastrzeżeniem jest też bóg matematyczny. Przesąd miał coprawda swoje strony dodatnie. Słusznie, ale przyniósł on też i wiele szkód, a od tego chcielibyśmy się przecież zabezpieczyć. Nie pragniemy już więcej procesów czarownic i tym podobnych. Starotestamentowy bóg nie ma nowoczesnych obyczajów. Nam potrzebny jest bóg, któryby gwarantował porządek i spokój, chociażby nawet tylko zgodnie z teorją prawdopodobieństwa. Odwróćmy wzrok od tego ziemskiego padołu, którego powietrze polityczne staje się coraz bardziej duszące. Włóżmy naukowe maski gazowe i zanurzmy spojrzenie w kosmiczne głębie, gdzie krążą systemy mlecznych dróg, zdala od wszelkich ziemskich trosk. Tam niema głodnych, wołających o chleb, tam niema bomb, rzucanych z samolotów; we wzniosłym spokoju, w każdym razie bez „uczucia i moralności", zakreślają gwiazdy swoje drogi zgodnie z prawami myślowemi ducha, który nic o nas nie wie, albo nic nie chce wiedzieć. My jednak odnajdujemy jego ślady w formułach matematycznych. Równaniami różniczkowemi nie można coprawda ani jednej łzy na ziemi osuszyć, ale przy ich pomocy można o wszystkich łzach zapomnieć.

Niech żyje bóg matematyczny! Halleluja!

HALINA POWIADOWSKA

Bandaże konwencjonalizmu.

Społeczeństwa są niejednokrotnie porównywane do żywych organizmów, posiadają bowiem takie istotne cechy, jak zdolność do regeneracji w pewnych granicach, instynkt samozachowawczy, podział funkcyj i t. p., wszystkie pomyślne dla trwania i rozwoju całości. Istnieje wszakże i pewna cecha ujemna, wzmacniająca ową analogję: stanowi ją chroniczny stan chorobowy zarówno społeczenstw jak organizmów. Maszyna może działać ze sprawnością nieomylną, natomiast organizm jakikolwiek — a więc między innemi i społeczny — nie jest nigdy doskonały. Nauki społeczne, etyka, polityka, prawo — nie zbudowały jeszcze systemu norm, zapewniających maximum pomyślności istocie ludzkiej i całości, w której skład ona wchodzi — społeczeństwu.

Toteż organizm ten jest bezustannie w ranach. Można je wskazać zupełnie wyraźnie: mają swój czas powstania, rozwoju i zaniku. Mają też swoje miejsca w przestrzeni.

Jedne z nich wygoiły się już, jak np. niewolnictwo murzynów, pańszczyzna, św. inkwizycja, tyrańskie samowładztwo.

Inne trwają po dziś dzień. Po dziś dzień z powodu nich

trwa ból, płyną łzy i krew, — i dzieje się to wcale nie w przenośni. Do nich należą: handel kobietami, wyzysk małoletnich pracowników, nędza mas bezroboczych, antysemityzm, przemoc i obłuda klerykalizmu, prostytucja i wiele innych.

Te rany zapiekłe, nabrzmiałe, pełne nieczystości, broczące ropą, zostają owiązane tkaniną niezawodną, w ogromnych zapasach trzymaną na składzie przez ludzi albo wręcz złych, albo poprostu głupich, albo — nierzadko — jedno i drugie zarazem: bandażami wygodnych, uspokajających konwencyj.

Otwarta rana handlu kobietami? Umówmy się: „w ręce handlarzy wpadają tylko te kobiety, które swojem pochodzeniem i warunkami życia, z jakich wynika chętka nieuczciwie choćby osiągniętego zbytku, predestynowane są i tak na dobrowolne prostytutki“...

Konwencja stanęła. Bandaż owija ranę, owija, owija... Zakrył ją całkiem.

Otwarta rana nędzy miljonowej? Umówmy się: „umierają z głodu tylko ci, którzy nie mają ochoty zarobkować, nie zasługują na prawo do pracy“, a ponadto przy niewrażliwości uczuciowej, przy słabo rozwiniętej świadomości, nie zdają sobie sprawy ze swego stanu.“

Konwencja stanęła. Bandaż owija ranę, owija... Śladu z niej nie zostało.

Otwarta rana antysemityzmu? Co znowu! Umówmy się: „żydzi są rozkładowym czynnikiem społeczeństwa, brak im poczucia obywatelskiego, i — zresztą — pod kije pogromów nawijają się tylko elementy wyzywające, niespokojne.“

Konwencja stanęła. Bandaż owija ranę.

Otwarta rana obłudy i przemocy klerykalizmu nad myślą wolną? Jeszcze raz — i jeszcze nie ostatni — umówmy się: „stosunki, panujące w tej dziedzinie, są dotkliwe tylko dla ludzi, których wywrotowe zasady i wyuzdane instynkty oraz antypaństwowa działalność powinny być jaknajsurowiej powstrzymane z zapędzie, aby miazmaty zza kordonu nie zatruły duszy młodego pokolenia, nie rozbiły rodziny polskiej i nie odebrały kobiecie-matce jej godności, na którą dotąd nie targnęło się żadne z pokoleń“.

Konwencja stanęła.

Tak samo jest z militaryzmem, tak samo z prostytucją, tak samo z każdem innem zagadnieniem „palącem“, to prawda, (nawet najbardziej zaprzysięgli „konwencjonaliści“ zmuszeni są przyznać) ale przecież nie należy przesadzać...

I skrępowany bandażami chory zapada w omdlenie. Sztywnieją mu członki. Konsyljum nieuczciwych lekarzy— nieuków cieszy się. Chory nie krzyczy — więc chyba nic mu nie grozi? Wszystko zatem jest jaknajlepiej na tym najlepszym ze światów.

że pozostawienie wszystkich nieczystości w ranie i odcięcie im ujścia może tylko doprowadzić do śmiertelnego zakażenia — cóż to obchodzi szanowne konsyljum?

I jeśli mimo wytężonego czuwania owych doktorów, żerujących na przewlekłej chorobie, organizm pozostaje przy życiu — dzieje się to dzięki uporczywemu zrywaniu bandaży przez niezrzeszonych — niestety — hygjenistów.

Ich uwadze należy polecić jedną jeszcze ranę społeczną z najbardziej obolałych, groźnych i najmocniej zarazem przewiązywanych konwencjami; ranę, której nazwa powinnaby brzmieć: Dziecko, „błogosławieństwo boże".

Ktokolwiek zwiedzał dzielnice robotnicze i żydowskie naszych miast, kto w nich dokonywał spisu ludności, kto bywał w przytułkach, szpitalach dziecięcych albo w oddziałach więziennych dla małoletnich, kto wreszcie wszedł choć raz do baraku dla bezdomnych, tego musiała przerazić dysproporcjonalna do pomieszczeń i możliwości wyżywienia ilość dzieci, dosłownie gnijących w brudzie. Dzieci te, limfatyczne i skrofuliczne, powykręcane przez chorobę angielską, jagliczne, pokryte strupami, blade i nerwowe, nie mają nic absolutnie wspólnego z „naszymi milusińskimi", nie mają również niemal żadnych szans wydostania się na powierzchnię życia, t. j. osiągnięcia stanowiska samowystarczalnego chociażby, jeśli już nie produktywnego członka społeczeństwa. Konają bez mleka, słońca, uśmiechu. Żadna opieka społeczna, a już napewno nie nasza, nie nastarczy dla nich. I naprawdę humanitarne byłoby tylko usunięcie ich z życia, a raczej z tego przewlekłego konania, przedewszystkiem zaś niedopuszczenie pod żadnym pozorem do tego, żeby ich było więcej.

Ale konwencje stoją na straży, podstępnie bandażując ranę:

„Dziecko jest jedyną pociechą tych biedaków. Wzgląd na nie powstrzymuje nieraz rodziców od przestępstw, pijatyki, bójek. Obawa przed grzechem nie pozwala wyrzec się dziecka. No i — nasza liczebność to siła naszego narodu. Aha, jeszcze jedno: lęk przed ciążą zapobiega niemoralnemu prowadzeniu się".

Ileż oschłości serca, ile tępoty i fałszu jest w tem wszystkiem!

Oschłości serca — bo tak najłagodniej można nazwać poświęcanie świadome rzeszy istot, przeznaczanie ich do życia, przed którem wzdrygnąłby się każdy z „konwencjonalistów", gdyby chodziło o jego własne dzieci, — w myśl niegodziwej zasady uświęcania celu przez środki. Człowiek jest najwyższą wartością, a jego bezużyteczne, narzucone mu cierpienie — największem złem.

Tępoty także niebrak w powyższych umowach: bo chyba tylko gdyby cmentarzyska dziecinne pokryte zostały sadami

i łanami zbóż, ogrom zebranego z nich chleba i owoców przyniósłby korzyść społeczeństwu. Ale przecież cmentarze są tylko odłogami, siejącemi zarazę. Więc w jakimże dosłownym czy przenośnym sensie młodzież gruźlicza, psychopatyczna, niedorozwinięta i przestępcza może być „przyszłością narodu? Pewno w charakterze materjału naukowego dla lekarzy, socjologów i pedagogów?

Procent fałszu pobija jednak rekord wszystkich innych cech przeciwników regulacji urodzeń. Czyż rzeczywiście wzbogaca i ozdabia życie gromadka dzieciaków, którym rodzice mogą dać najwyżej jedną porcję zupy z kuchni dla bezrobotnych, odgrzewaną kilka razy dziennie, i buty, pozszywane z kawałków obuwia, zebranego na śmietnikach? To fakty, a nie stylistyczny ozdobnik, jak faktem jest również i to, że dzieci te życie całe spędzają albo w cuchnącem, pomyjami zalanem podwórku, albo w brudnej i ciemnej norze, gdzie na noc ściele sobie barłogi z ubrań, cały dzień noszonych, gromada dziesięciorga, dwanaściorga osób, w czem połowa „podnajemców“?

Kłamliwość konwencyj, które są jak „bawełna w uszach od ludzkiego jęku“, polega i na czemś innem jeszcze. Oto rozmowa z matkami na przedmieściach, w barakach, w ambulatorjach, daje poznać prawdziwy powód niedorzecznego i okropnego mnożenia się ubogiej ludności, bardzo odmienny od „bojaźni bożej“ i „instynktu macierzyńskiego“: jest nim wyłącznie nieznajomość środków zapobiegawczych i nieświadomość odpowiedzialności oraz ciężarów, jakie za sobą pociąga posiadanie dziecka.

Na pytania: — „Czy pani chciała mieć tyle dzieci? Czy pewna pani była, że je potrafi wyżywić?“ — niemal zawsze słyszy się odpowiedzi: — „Albo ja o tem myślałam?“ — „Robiłam co mogłam, żeby go nie mieć, ale nie udało się...“ A przekleństwa i płacz są nieraz jeszcze wymowniejsze niż wszelkie słowa.

Toteż gdyby do sprawy regulacji urodzeń nie wtrącał się kler, który oczywiście obstaje przy niezmniejszaniu ilości chrztów i pogrzebów — zwolennicy neomaltuzjanizmu zostaliby jaknajlepiej przyjęci na przedmieściach i wsiach. Tylko cóż — groźba wiecznych kar piekielnych, i, co skuteczniejsze jeszcze, doczesnych kar niezwłocznych w postaci gradobić, pożarów, chorób, trzyma w karbach zalęknione stada owieczek.

Tak się więc dzieje od stuleci i przez stulecia jeszcze dziać się będzie że żywy organizm społeczny zakaża przewiązana bandażami konwencyj rana nędzy istnień dziecięcych, które przyszły na świat bez dostatecznego uzasadnienia, bez żadnych danych na to, żeby im było dobrze i z niemi było dobrze.

Książki nadesłane.

Boy-żeleński: Nasi okupanci, Warszawa 1932 str. 160.

Boy jest w naszych czasach człowiekiem stanowczo anormalnym: ma jakąś niesamowitą pasję mówienia prawdy i nieliczenia się z żadnym autorytetem. Myli się czasami w szczegółach — wtedy nie waha się przyznać do tego. Jest niezwykle subjektywny, gdyż mówi o wszystkiem ze swego osobistego punktu widzenia i sądy swoje opiera na własnem odczuciu, a jednocześnie chwilami wznosi się na szczyty objektywizmu, starając się wczuć w dusze swych przeciwników, których często ośmiesza, ale którymi rzadko gardzi. Od pewnego czasu Boy prowadzi zaciętą kampanję przeciw okupantom watykańskim w Polsce. Zaczęło się to od bardzo niewinnego artykułu w „Wiadomościach Literackich" o nowej ustawie małżeńskiej. Możliwem jest, że gdyby kler watykański zajął wobec projektu stanowisko niechętne, ale lojalne, jakby przystało polakom, nawet w sutannach, sprawa sama przybrałaby inny obrót: drogą interwencji osobistej, perswazji, namowy, dałoby się niejedno w niewygodnym dla kleru projekcie zmienić, przystosować, złagodzić. Ale widać, zgodnie z przysłowiem, bóg chce kler zgubić, bo mu rozum odebrał: posypały się enuncjacje, denuncjacje, listy biskupie, protesty Zytek i małżonek dozorców, członkiń bractw różańcowych, sodalisów i sodalisek i zupełnych analfabetów. W rezultacie takiego nieprzytomnego ataku obudziły i oburzyły się wszystkie lepsze, światlejsze, postępowsze elementy w Polsce — i nagle okazało się, że potęga kleru podobna jest do kolosa na glinianych nogach. Coraz liczniejsze i śmielsze głosy zarzucały kościołowi watykańskiemu w Polsce ciemnotę, egoizm, nieszczerość — i gorsze jeszcze przymioty. W tej walce Ormuzda z Arimanem jedną z ważniejszych placówek zajął Boy. W całym szeregu świetnych artykułów przygważdżał on niekonsekwencje i świadome fałsze naszych okupantów, nawoływał do obrony godności ludzkiej i obywatelskiej przeciwko bezgranicznym roszczeniom biskupów, przemawiających do naszych władz państwowych tonem urodzonych panów, gromiących nieposłuszne dzieci lub zbuntowanych niewolników. Nie pora jeszcze dziś mówić o rezultatach walki, która wciąż trwa, z dnia na dzień bardziej uporczywa. Te artykuły swe bojowe, tyczące się zarówno nowej ustawy małżeńskiej jak i sprawy świadomego macierzyństwa, zebrał obecnie Boy i wydał w oddzielnej książeczce. Są

to prawdziwe dokumenty, na które nieraz powoływać się będzie przyszły historyk kultury w Polsce.

Ks. Bolesław Ciszak: PAMIETNIK KURSU DUSZPASTERSKIEGO w sprawie sekciarstwa i innowierstwa. Poznań 1931, str. 258.

Winniśmy szczerą wdzięczność związkowi kapłanów „Unitas“ za ogłoszenie drukiem tego zbioru referatów, wygłoszonych chyba przez najlepszych znawców tych spraw wobec przeszło stu księży, przybyłych z całej Polski dla poznania najnowszych kierunków antywatykańskich, nurtujących obecne społeczeństwo polskie. Niezmiernie pouczające referaty. Księża-referenci mówili o wyznaniach protestanckich, o kościele narodowym, o badaczach pisma świętego, o prawosławiu, o zgubnym wpływie judaizmu na duszę polską, o wolnomyślicielstwie i masonerji, o teozofji, okkultyzmie i spirytyzmie i naturalnie o propagandzie bolszewickiej. Mówili dużo, mówili mocno, mówili z katedry jak z ambony. Nie możemy niestety tutaj wytykać wszystkich błędów, historycznych i logicznych, popełnionych przez prelegentów, bo trzebaby na to było napisać całą książkę, a zresztą — niech wyznawcy odpowiednich kościołów sami sobie ten trud zadadzą. Chcielibyśmy tylko przytoczyć kilka uwag o sprawie, najbardziej nas obchodzącej: na krótkich 3 stroniczkach ks. Feliks de Ville pouczał kolegów swoich o ruchu wolnomyślicielskim w Polsce. Powiedzmy odrazu, że cały ten referat jest jednym stekiem błędów, świadomych fałszów, insynuacyj najgorszego gatunku. Ksiadz—referent nie słyszał nawet o istnieniu Polskiego Związku Myśli Wolnej; według niego działa w Warszawie obecnie tylko Stowarzyszenie Wolnomyślicieli Polskich, założone w 1920 roku, z siedziba przy ulicy Elektoralnej 13, wydajac pismo „Myśl Wolna“. S. W. P. jest jedna z „jaczejek“ miedzynarodowego Zwiazku wolnomyślicieli, który powstał w roku 1920 w Brukseli. Delegatami na Zjazd międzynarodowy byli Thugut i Hempel. Prof. Baudouin de Courtenay wycofał się z S. W. P. na skutek skazania przez sądy Józefa Czechowskiego, redaktora „Ewangelji Myśli“, jako prowokatora bolszewickiego. Nowy zarząd przyjął nowy program, którego punkt 5-ty ogłasza walkę o wyeliminowanie z wyższych uczelni wydziałów teologicznych, co szeroko omawia dziś w miesięczniku „Racjonalista“ prof. U. W. Kotarbiński. Na skutek uchwały zarządu S. W. P. powstały nowe pisma, a mianowicie: „Za Wolność“, red. Tad. Wieniawa-Długoszewski, „Chłopska Wolność“ red. Strug, „Związek beznarodowościowy“, działający w Wielkopolsce i na Pomorzu, oraz „Wolnomyśliciel“, wydawany w Lublinie przez Antoniego Zbikowskiego i Kazimierza Grafczyńskiego. S. W. P. jest również dołączone do „Internationaler Prole-

tarischer Freidenker", do którego należy też i „Związek Sowiecki Bezbożników" z 2.500.000 członków. Cały ruch wolnomyślicielski kierowany jest przez żydów, w ścisłym związku z bolszewikami, a dla zamydlenia polakom oczu wysuwa się nazwiska polskie. — Dosyć już cytat, chyba wystarczą dla wykazania, jaki pokarm duchowy otrzymali księża podczas Kursu Duszpasterskiego. A przecież, gdyby ksiądz de Ville miał najmniejsze bodaj poczucie odpowiedzialności za wygłaszane przez siebie nauki, to poszedłby pod wskazany przez siebie adres (Elektoralna 13) i dowiedziałby się tam choćby od dozorcy domu, że Stowarzyszenie Wolnomyślicieli Polskich nie istnieje już od 6 lat, że „Myśl Wolna" od tyluż prawie lat już nie wychodzi. Gdyby zechciał przed wykładem swoim zwrócić się do sekretarjatu zarządu Polskiego Związku Myśli Wolnej, otrzymałby wszelkie informacje o naszym ruchu i nie miałby potrzeby narażać swoich słuchaczy na rozczarowanie, a siebie na śmieszność.

Dr. Henryk Kłuszyński: **Regulacja urodzeń.** Warszawa, nakł. Księgarni Robotniczej, str. 64.

Rzecz bardzo na czasie. Dobrze i przystępnie napisana książeczka wyjaśnia konieczność ograniczania urodzeń. Przeznaczona dla szerokich sfer ludu pracującego, spełnia swoje zadanie w zupełności.

Sprostowanie.

W nr. 5. str. 74 „Racjonalisty" opuszczono quid w znanej łacińskiej formule oraz s w jednym wyrazie; powinno być: **Caveant consules ne quid detrimenti respublica capiat.**

Od Administracji

Prenumeratorów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty za kwartał III r. b.

Odpowiedzi redakcji.

P. W., Poznań: Przyjęliśmy chętnie do wiadomości Wasze sprostowanie, lecz użytku z niego zrobić nie możemy, gdyż rzecz sama przez się nie ma znaczenia. Jeśli te odczyty miały wartość ogólniejszą, napiszcie nam coś o nich.

P. L. K., Warszawa: Pytacie o rzeczy, które stanowią tajemnicę każdej redakcji. Jeśli autor dla jakichbądź względów podpisuje swój artykuł inicjałami lub pseudonimem, to przecież my nie możemy ujawniać jego nazwiska. W zasadzie chcielibyśmy, aby autorowie nasi zawsze występowali z otwartą przyłbicą, przeważnie też artykuły w „Racjonaliście" podpisywane są pełnem nazwiskiem. Zdarza się wszakże czasami, że ktoś nie może lub nie chce podać swego nazwiska — musimy wtedy wolę jego uszanować.

P. Z. S., Lwów: Możemy Waszą ciekawość zaspokoić: największą liczbę prenumeratorów posiada „Racjonalista" w Warszawie, zaraz za stolicą idzie Poznań, następnie Łódź. Niestety Wasze miasto jest dopiero na czwartem miejscu, co może świadczy o niedostatecznej propagandzie u Was. Bardzo prosimy o obiecane adresy, roześlemy chętnie numery okazowe.

P. S. K. Warszawa: Prosimy o nadesłanie swego nazwiska i adresu dla wiadomości redakcji. Anonimowych prac nie możemy przyjmować. Zechciejcie w tej sprawie porozumieć się z redaktorem osobiście lub telefonicznie.

P. B. L. Kraków: Zareklamujcie na poczcie. Numer brakujący wysłaliśmy powtórnie.

P. J. G. Pamiątkowo. Żądane numery wysłaliśmy powtórnie. Czyście nie otrzymali poprzednio wszystkich numerów od stycznia r. b., wraz z pokwitowaniem? Możeby w takim razie zareklamować na poczcie?

PRENUMERATA „RACJONALISTY"

rocznie	zł. 4.—	zagranicą	dol. 1.—rocznie
kwartalnie	„ 1.—	numer pojedynczy	40 gr.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ul. Poznańska 14 m. 19, tel. 9 26-55. P.K.O. 13214

Redaktor i Wydawca — Józef Landau

Skład: „Zjednoczeni Drukarze" Elektoralna 15. Druk. „Bristol" Elekt. 31.